Roger Dee

# Ponura, zielona planeta

(Grim Green World)

`

Planet Stories, November 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

**Z**apaliłem ostatniego papierosa, jakiego miałem wypalić w życiu i wyciągnąłem swój kombinezon powietrzny z szafki pod pulpitem sterowniczym. W dwuosobowej kabinie było zimno jak w grobie, nawet pomimo tego, że przez przedni port widokowy wlewała się fala promieni słonecznych. W dodatku powietrze cuchnęło nieświeżym dymem tytoniowym i olejem maszynowym. Obok mnie Charlie Kosta monotonnie mówił do komunikatora, przenoszącego jego słowa na odległość dwustu trzydzieści tysięcy mil, do milionów ludzi słuchających nas na Ziemi.

— Nasze powietrze jest już na ukończeniu — powiedział Charlie. — Mamy go jeszcze na dwadzieścia minut hamowania, ale na pewno nie uda nam się wylądować. Luna V jest dziurawa jak sito, na wszystkie strony tryska z niej ciężka woda z paliwa, zmieszana z powietrzem… To cud, że jeden z tych odłamków nie uderzył w nasz stos paliwowy lub w komunikator, albo… po prostu w nas. Właśnie z tego powodu wybuchły pierwsze cztery statki, teraz już to wiemy… jeśli człowiek ma kiedykolwiek stanąć na Księżycu, musi najpierw zbudować jakiś pancerz, który przebije się przez tę zaporę meteorowego pyłu.

Wsadziłem stopy w plastoidowy skafander i naciągnąłem go na siebie, zostawiając przezroczyste nakrycie głowy zwisające na jednym ramieniu, jak kaptur skafandra. Charlie obserwował mnie z napiętym uśmiechem, czekając aż upłynie trzysekundowe opóźnienie czasowe odpowiedzi z Ziemi. Jakiś bardzo ważny generał, tam na dole, przepchnął się do mikrofonu przez naukowców z Fundacji Księżycowej, aby też coś powiedzieć; jego głos dobiegał przez szum zakłóceń, które nadawały mu blaszane, gorączkowe brzmienie.

— Pył meteorowy nie mógł przebić kadłuba z tego stopu! Statek był testowany wiele razy…

Przeczekaliśmy tę tyradę, wiedząc, że jego wściekłość nie była spowodowana naszym położeniem, ani nawet porażką lotów kosmicznych. Tak jak wszyscy wojskowi, zainteresowany był tylko utworzeniem bazy księżycowej, która nadzorowałaby Ziemię. Zarządzany tylko przez nich zespół wyrzutni rakietowych, mógłby kontrolować cały świat. Po utworzeniu tej bazy ferment wojenny znalazłby swoje gorzkie zakończenie: jeden naród posiadłby planetę.

— Ale nie przetestował pan kadłuba tutaj, w kosmosie — cierpliwie wyjaśnił Charlie, kiedy generał skończył. — Nawet pan sobie nie wyobraża z jaką prędkością poruszają się te cząsteczki. Nie otacza nas, tak jak Ziemi, warstwa ochronna atmosfery, w której zmieniłyby się one w parę. Przebijają się przez statek tak szybko, że wydaje się, iż uderzają w oba końce kadłuba jednocześnie. Przerywam teraz połączenie z panem, aby przekazać głos Leonardowi Nugentowi. Len, jesteś gotowy?

Na to właśnie czekałem. Myślałem o tej chwili każdego dnia z tych dziewięciu lat, przez które przygotowywałem się do tego lotu, i połowę swego wcześniejszego życia wypełnionego ćwiczeniami. Czekanie niemal już dobiegło końca.

— **J**estem gotów — powiedziałem i wziąłem mikrofon. — Ale chyba nie ma sensu dalej opowiadać, prawda? Przy takich wyciekach paliwa, Luna V wybuchnie jak bomba atomowa, kiedy tylko spróbujemy użyć silników lądowniczych, tak jak to się stało w przypadku czterech poprzednich Lun… Powietrze zaczyna robić się coraz rzadsze, tak rzadkie, że zaraz będę musiał założyć mój skafander ciśnieniowy. Czy są jeszcze jakieś pytania?

Jedyną odpowiedzą dla mnie, był szum i trzaski zakłóceń.

Mogłem się domyślić, dlaczego; ci tam na dole, kłócili się i spierali między sobą, wojskowi warczeli na naukowców, a tamci im odwarkiwali, każdy obwiniał wszystkich pozostałych za tę nową porażkę. Strata pierwszych czterech statków była tajemnicą, dopóki nie wysłali w kosmos Luny V z dwoma pilotami, wyposażonymi w możliwość pełnej komunikacji dwukierunkowej. Charlie i ja meldowaliśmy się od początku lotu, zmieniając się co trzydzieści minut, informując Fundację na bieżąco, tak że jeśli cokolwiek miałoby nam zagrozić, powinni znać naturę tego zagrożenia. Tak więc teraz dostali to, czego chcieli, i problem ten powinien zająć ich przez najbliższe dziesięć, czy piętnaście lat, podczas gdy podbój kosmosu pozostałby na ten okres w zawieszeniu. Ale, oczywiście, nie potrafili przyjąć w spokoju nawet chwilowej porażki – musieli się pokłócić między sobą, tak jak ludzie kłócili się zawsze, od czasu kiedy po raz pierwszy zeszli z drzewa i zaczęli organizować ten cały interes z zabijaniem się przez siebie.

— Pomimo wszystko, spróbujemy wylądować — powiedziałem do mikrofonu. — Uruchomimy silniki hamujące, zaraz jak tylko wyjdziemy z blasku Słońca i znajdziemy się w półcieniu Księżyca, gdzie coś będziemy mogli zobaczyć.

Przemknęliśmy nagle w ciemność, gubiąc się natychmiast w ogromnym stożku cienia Księżyca. Nocna część kieszonkowej planetki rozciągała się pod nami, słabo widoczna i wyglądająca upiornie w niebieskim świetle Ziemi, skalista i bezludna, zimna jak kosmos i stara jak czas. Ziemia wisiała w górze, nieco z tyłu, i jakoś nie mogłem przestać myśleć o astronomach, którzy śledzili mozolnie nasz lot, obserwując każdy cal pokonywanej przez nas drogi. Teraz nie mogli nas widzieć; półksiężyc dziennej strony Księżyca leżał między Luną V i Słońcem, kryjąc nas głęboko w zupełnych ciemnościach kosmosu.

Charlie wziął mikrofon, tym razem mówiąc nie do ludzi z Fundacji, ale do milionów tych, którzy siedzieli w napięciu przy swoich odbiornikach. Niektórzy z nich może modlili się za nasze bezpieczeństwo, inni zaś zawierali zakłady odnośnie naszych szans wyjścia z tego z życiem; wszyscy oni byli jednak do szpiku kości wstrząśnięci przeżywaną za naszym pośrednictwem bliskością niebezpieczeństwa i śmierci.

— Nie chcemy żadnych lamentów i demonstracji — mówił dalej Charlie. — Jeśli wy, słuchający mnie, chcecie uhonorować pamięć naszą i ludzi, którzy zginęli przed nami, to zapomnijcie na razie o podróżach kosmicznych i spróbujcie osiągnąć trwały pokój tutaj, na Ziemi. Ponieważ to nieuniknione, że pewnego dnia podbijecie kosmos, i jeśli nie będziecie do tego gotowi, kiedy ten dzień nastąpi…

Pstryknął przełącznikiem i wyłączył komunikator, a następnie obaj wyjrzeliśmy przez port, obserwując niewielką metalową sferę, która wyskoczyła z ciemności za Luną V. Po chwili buchnął z niej wielki biały rozbłysk ognia atomowego, oślepiając na chwilę każde oko, które mimo wszystko mogłoby obserwować nas z Ziemi.

— Dokładnie zgodnie z rozkładem — stwierdził Charlie i skierował Lunę V ponad krawędź terminatora, a następnie nad tajemniczą drugą stronę Księżyca, ukrytą półkulę, której nie widział jeszcze nigdy żaden człowiek.

**C**zekał tam na nas statek, gładki, znajomy cylinder, ze śluzą powietrzną stojącą otworem.

Weszliśmy na pokład statku, zamknęliśmy za sobą śluzę i zrzuciliśmy z siebie nasze nieporęczne skafandry powietrzne. Charlie wygiął ręce i uśmiechnął się do mnie szeroko.

— Boże, jak dobrze, że to już koniec – to było jak dziewięć lat w więzieniu.

— Ale warto było — odparłem.

Wspominałem ponurą zieloną planetę, którą właśnie opuściliśmy, lekko się wzdrygając na myśl o kłótliwych małpich hordach, próbujących przebić się w górę skali, w kierunku cywilizacji, która niekontrolowana, mogłaby pewnego dnia objąć rządy nad Wszechświatem.

— Dało nam to kilka kolejnych lat zwłoki, zanim ruszą na nas hurmem, ze swoimi bombami atomowymi, politykami i gapiącymi się na wszystko turystami — powiedziałem, ciągle używając wzorców językowych, ćwiczonych przeze mnie przez pół życia. — Zyskaliśmy wystarczająco dużo czasu, by mieć nadzieję na najlepsze skutki. Będziemy potrzebować każdej chwili, aby się na nich przygotować.

Potem poszliśmy dalej, aby patrzeć jak pilot o purpurowej skórze, owłosiony, wielu kończynach, a przede wszystkim cudownie umarszczony, uruchomił napęd magnetyczny, mający ponieść nas z ogromną prędkością w kierunku planety, która była naszym domem. Później, już w naturalnych ciałach, będziemy mogli wymówić jej nazwę z szacunkiem, ale w tej chwili nasze niezgrabne, syntetyczne ziemskie języki nie były w stanie opanować jej wspaniałych rozszerzeń sonicznych, tak więc użyliśmy innego określenia.

Na razie, nazywaliśmy ją Marsem.

KONIEC